Serbia — między Moskwą a Brukselą

czerwiec 2006

Wczesnym popołudniem start z Brukseli do Monachium, bo tam mam przesiąść się na lot do Belgradu.

Jestem bardzo ciekawy stolicy dawnej Jugosławii. Nigdy tu, o paradoksie, nie byłem. Przyjeżdżam do nieistniejącego państwa: Serbia i Czarnogóra. Od paru tygodni Czarnogóra jest „na własnym", jej obywatele w referendum wybrali niepodległość. Obok poczucia odrębności narodowej i historycznej, dziś manifestowanego znacznie bardziej niż na przykład 10 lat temu, dochodzi jeszcze i to, że Czarnogórcy wiedzą, iż ich samodzielna droga do UE jest znacznie krótsza niż razem z Serbią. Jestem jedynym Polakiem w jedenastoosobowej delegacji Parlamentu Europejskiego, która spędzi w Belgradzie dobę i spotka się z prezydentem Serbii — Borisem Tadiciem, premierem Vojislavem Koštunicą oraz ministrem spraw zagranicznych, znanym opozycjonistą wobec Miloševicia — Vukiem Draškoviciem. W europarlamentarnej delegacji dominują Niemcy, tradycyjnie zainteresowani tym regionem: jest ich czterech, plus dwóch Holendrów i po jednym przedstawicielu Polski,

Wielkiej Brytanii, Austrii, Włoch oraz Węgier. Szefem delegacji jest niemiecka chadeczka, jej zastępcą austriacki socjalista. Prawie połowa składu jest niemieckojęzyczna, nie mówiąc już o tym, że i Holendrzy, i Węgier oraz — od biedy — ja też jakoś komunikujemy się w tym języku.

Belgrad przywitał mnie napisem „Aerodrom Boegrad" i upałem, mimo że było już dobrze po 17. Zaskakująco szybka jazda z lotniska do hotelu, bez korków, bez większego ruchu, raptem 10 minut. Mieszkamy w jednym z lepszych, choć nie najnowszych hoteli — Intercontinentalu. Belgrad dzieli się na „nowy" i „stary", obie części oddziela rzeka, ale i w starym, i w nowym Belgradzie łatwo dostrzec można coś, co je łączy: cygańskie slumsy. Wystarczy przejechać się parę minut z mojego hotelu i już widzę lepianki, jakby zupełnie nie z bajki o XXI-wiecznej europejskiej stolicy. Podobne koczowisko jest w starym Belgradzie, w pobliżu dworca kolejowego.

Inaczej niż w stolicy Bośni i Hercegowiny — Sarajewie — tutaj nie widać specjalnie śladów wojny. Jedynie zniszczony i wciąż nieodbudowany budynek resortu obrony narodowej każe pamiętać o NATO-wskich nalotach sprzed paru lat. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, częściowo zniszczony pozostaje budynek MSW. Władze Serbii nie odbudowują ich chyba specjalnie, aby przypominać wojenne straty i wokół nich wzniecać narodową solidarność. Tu wszyscy wiedzą, kto to zrobił: Amerykanie i generalnie Zachód.

Ostatnio premier Republiki Serbskiej, Boris Tadić, zarzucił Unii niesprawiedliwe traktowanie jego kraju i wydłużanie drogi do członkostwa. Dość bezceremonialnie odpowiedziała mu unijna urzędniczka średniego szczebla, rzeczniczka komisarza ds. rozszerzenia — Kristina Nogy. Poprawił jeszcze komisarz Olli Rehn, złośliwie dziękując Koštunicy, że nie obarczył Unii winą za druzgocącą porażkę Serbii w meczu z Argentyną (0 : 6).

Od dawna iskrzy na łączach Bruksela — Belgrad. Jednym z przedmiotów sporu jest kwestia rozliczenia za zbrodnie ludobójstwa z okresu dzielenia się Jugosławii. Belgrad, według UE, nie kwapi się z wydawaniem swoich zamieszanych w to generałów i oficerów. Serbowie nie wierzą, że Trybunał w Hadze osądzi ich spra-

wiedliwie, i procesy te uważają za „polityczne". Zresztą trochę nie bez kozery. Bruksela przyjęła taktykę dzielenia serbskich polityków na „dobrych" i „złych": prezydent jest „cacy", a szef rządu „be". Takie rozgrywanie wewnątrz serbskiej sceny politycznej nie może się podobać opinii publicznej w tym kraju.

Ostatnio przedmiotem konfliktu między prezydentem Tadiciem a premierem Republiki „Srpskiej" Koštunicą jest nowa konstytucja. Wszyscy zgadzają się, że trzeba przekreślić tę z czasów Miloševicia, o ile jednak prezydent uważa, że przyjęcie nowej nie zmienia nic w jego urzędowaniu i że nie są potrzebne w związku z tym nowe wybory, to jego główny oponent — szef rządu jest zdania (skądinąd słusznie), że nowa konstytucja to opcja zerowa i trzeba na nowo wybrać i parlament, i rząd, i głowę państwa.

Prezydent Tadić to, powiedzmy, proeuropejski liberał, a premier Koštunica to — nazwijmy go — umiarkowany nacjonalista. Oczywiście Bruksela pierwszego faworyzuje (publicznie i spektakularnie), a drugiego nie lubi, publicznie krytykuje, spiera się z nim i rzuca mu kłody pod nogi. Prezydent ma 48 lat, urodził się w Sarajewie (serbskie losy!), jest absolwentem psychologii uniwersytetu w Belgradzie, ma żonę i czwórkę dzieci. Wcześniej był ministrem telekomunikacji (8 miesięcy) i obrony (13 miesięcy). Zwolennik wysłania serbskich żołnierzy do Afganistanu i bliskich związków z NATO. Mówi po francusku i angielsku. Premier jest od niego znacznie starszy, ma 62 lata. Urodzony w Belgradzie, jest z zawodu wykładowcą akademickim (filozofia i nauki społeczne). W przeciwieństwie do większości serbskich polityków nigdy nie był w partii komunistycznej. Przez 7 lat w latach 90. zasiadał w serbskim parlamencie. Przez dwa i pół roku (między wrześniem 2000 a lutym 2003) był prezydentem Jugosławii, detronizując na tym stanowisku „Slobo" Miloševicia. Premierem jest od 2 lat i 3 miesięcy. Przeciwnik oderwania Czarnogóry. Spokojnie mówiący profesor jest grzeczny w formie i znacznie bardziej radykalny w treści. Nie znosi — z wzajemnością — prezydenta Tadicia.

Serbowie, w tym serbscy politycy, czują już, że Kosowo wymusi niepodległość — i to przy milczącym poparciu UE i NATO. Ale

żaden Serb, a już zwłaszcza serbski polityk, nigdy, nigdzie, za nic w świecie, za żadną cenę i pod żadnym pozorem nie powie głośno: „Kosowo stracone"… Chyba że — jak mówi znajomy dyplomata — po trzech koniakach. Nie wcześniej.

Podsumowuję mój drugi dzień w Belgradzie. Pierwszy wątek: młodzież. Serbska młodzież powinna się kształcić tutaj. Załatwianie im stypendiów za granicą doprowadzi do tego, co stało się z Polakami z dawnych Kresów Wschodnich, z dzisiejszej Ukrainy i Białorusi: Polacy stamtąd studiujący w Polsce w swej olbrzymiej większości zostali u nas (a więc i u siebie), nie wrócili, nie zasilili polskiej inteligencji na Wschodzie. Mieli do tego zresztą pełne prawo. Trzeba o tym polskim, choć specyficznym, przykładzie mówić naszym serbskim przyjaciołom. Wizja Serbii bez serbskiej młodzieży jest całkiem realna.

Na spotkaniu z ambasadorami kilku krajów UE w Belgradzie mówiono, że to wizy hamują wyjazdy na przykład studentów na wymianę lub nawet prywatnie. Nie, to nie wizy, lecz… pieniądze, a raczej ich brak. Polscy studenci przyjeżdżają tutaj, ale tutejszych na rewizyty po prostu nie stać. Zresztą nie jest to problem tylko młodzieży akademickiej. Skoro naczelnik w serbskim MSZ zarabia 250 euro miesięcznie…

UE ostatnio zawiesiła negocjacje nad układem stowarzyszeniowym z Serbią. Reakcja opinii publicznej? Żadna. Całkowita obojętność. Są rokowania — dobrze. Nie ma — drugie dobrze. Gdyby tak wydarzyło się w Polsce w okresie przedakcesyjnym — to dopiero byłaby awantura! Szukanie winnych, wzajemne oskarżenia, zarzuty wobec Brukseli. A tu — spokój, cisza w mediach, „nawet nikt łzy nie uronił" — mówi mi cierpko polski ambasador.

Gdyby nagle Unia, chcąc zdopingować Serbów do intensywniejszych reform: administracji, sądownictwa, ekonomicznych czy wydawania zbrodniarzy wojennych Hadze, zaproponowałaby Serbii tzw. szybką ścieżkę członkostwa — to i tak nikt by tego tutaj nie docenił. Eksperci twierdzą, że nawet taka marchewka by nie podziałała: to do niczego by ich nie zmobilizowało, bo uważają, że i tak im się należy. Belgijska ambasador w tym kraju, która Serbów

zna dobrze, bo jej były mąż to Serb (z drugiej strony: czy była żona może być obiektywna, mówiąc czy cytując byłego męża?), twierdzi, że oni i tak uważają siebie za centrum świata, a jako dowód przytacza wypowiedź swojego eksmałżonka: „My jesteśmy bogami". Jeżeli w tym wysokim noszeniu głowy przez ów skądinąd miły słowiański naród jest coś na rzeczy, to prawdopodobnie mamy do czynienia ze spuścizną (choć pewnie nie tylko) po epoce Josipa Broz-Tita oraz jego doktryny Jugosławii jako regionalnego „mocarstwa" i lidera bloku państw „niezaangażowanych", bloku, w którym uczestniczyły kraje z kilku kontynentów, m.in. Indie. Ale pewnie nie tylko to: korzeni tej hardości, dumy (megalomanii, powiedzieliby krytycy) upatrywać należałoby w całej długiej historii tego bitnego narodu, który musiał sobie przez stulecia radzić z Imperium Otomańskim, aż w końcu nie poradził sobie zupełnie ze swoimi sąsiadami pobratymcami.

Niech każdy, kto opowiada głupoty o brutalizacji życia publicznego w Polsce, przyjedzie do Serbii czy — szerzej — na Bałkany. Tu dopiero odbywa się ostra jazda. Gdy ostatnio powoływano na stanowisko wicepremiera kobietę — ministra rolnictwa Ivanę Dulić-Marković, która jest (a raczej ma nieszczęście być) pół-Chorwatką, przez media przetoczyła się nie tyle debata, ile szowinistyczny rynsztok z używaniem „argumentów" o prowadzeniu się matki pani minister!!!

Mówią, że w Serbii liczą się tylko ci, którzy mają pieniądze albo mają władzę… Niby wszędzie tak jest, ale ponoć tu znacznie bardziej niż „wszędzie". I chyba stąd wynika ten bardzo podejrzliwy stosunek do NGO-sów — organizacji pozarządowych. „Kto za nimi stoi?" i „skąd mają pieniądze?" — to standardowe pytania władzy. Współczuję. Tyle że na Białorusi w ogóle takich pytań nie ma, bo nie ma i NGO-sów.

Serbii „grożą" wcześniejsze wybory. Nowa wicepremier już zapowiedziała we wczorajszym wywiadzie dla belgijskiej gazety „Blick", że mogłoby do nich dojść w marcu przyszłego roku. Mówi się również o tegorocznym listopadzie lub grudniu. Kiedykolwiek by one jednak były, wszyscy i tak są przekonani, że wygrają je radykałowie

Šešelja. Wybory mogą więc tylko przyspieszyć ich rządy. Już teraz współpracownicy urzędującego premiera Koštunicy przekonują zagranicznych dyplomatów, że ta Serbska Partia Radykalna nie jest znowu taka całkiem antyeuropejska, wręcz przeciwnie. Po prostu umiarkowany nacjonalista Koštunica chce rozegrać polityczną partię z nacjonalistycznymi radykałami, a może i uratować ich głosami fotel premiera.

W tle widać debatę na temat nowej konstytucji, której wprowadzenie będzie dla premiera dobrym pretekstem do eleganckiej egzekucji prezydenta — Tadić oczywiście wierzga, dowodząc, że jego kadencja musi być kontynuowana mimo wejścia nowej ustawy zasadniczej. Ale obóz szefa rządu mówi twardo: nowa konstytucja, nowe wybory, nowe kadencje parlamentu, rządu, głowy państwa. Pozornie chodzi o kwestie formalnoprawne, de facto zaś o polityczne, a po Serbii kłusują stada tamtejszych „falandyszy"…

Pogratulowałem charyzmatycznemu liderowi demokratycznej opozycji, a obecnie ministrowi spraw zagranicznych Vukowi Draškoviciowi jego nowej powieści. *Rosyjski konsul* to rzecz, krótko ujmując i trochę trywializując — o pewnym Serbie z Kosowa, który na skutek różnych okoliczności… zwariował. Promocja książki z udziałem autora odbędzie się także w Polsce, i to już 28 czerwca. Polskie tłumaczenie uczci prywatnym (!) przyjazdem do naszego kraju pan minister, który przy tej okazji nieoficjalnie spotka się z minister Fotygą. Poza tymi duserami zapytałem Draškovicia o obecne relacje Serbia — USA. Odpowiedział, że głównym tematem w tych rozmowach jest Kosowo. No, Ameryki to on tym stwierdzeniem nie odkrył. Szef serbskiego MSZ miał pretensje do nas (czyli do Unii), że nie wywieramy dostatecznego nacisku na Albańczyków w Kosowie na przestrzeganie praw człowieka wobec Serbów w tym regionie (a niedługo niepodległym kraju — czego oczywiście Vuk nie dopowiedział, bo nie mógł, a ja mogę — więc mówię). Niestety, miał sporo racji: w tym zakresie wcześniej, ale i dziś, UE zachowuje się jak Poncjusz Piłat.

Napisałem, że NATO zbombardowało budynki MON i MSW w Belgradzie. To prawda. Były to dwa budynki Sztabu Generalne-

go i wieżowiec Kwatery Głównej serbskiej policji. Serbowie nie odbudowują ich, jakby chcieli powiedzieć: „zniszczyliście — to teraz budujcie"… Skądinąd miejscowi żyją w przeświadczeniu, że przerwanie nalotów NATO było zwycięstwem armii serbskiej! Może to wynikać także z faktu, że armia dawnej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii była pod względem liczebności czwartą armią na świecie! Liczyła 2 mln żołnierzy na 20 mln ludności… Gdy zaczęły się tendencje niepodległościowe w Słowenii, na przełomie lat 80. i 90., ówczesny jugosłowiański attaché wojskowy w Warszawie mówił, że „jakby co, Słowenię zetrzemy w pył…". Nie starli ani Słowenii, ani Chorwacji, ani Macedonii, ani Bośni i Hercegowiny, nie zetrą teraz Czarnogóry, ani nawet Kosowa, choć wszędzie tam — wszędzie (!) — zostawili liczną serbską mniejszość. Ten dla nich tak okrojony kształt państwa jest niewątpliwie dramatem. Ale muszą z nim żyć. Tak jak Węgry czy Włochy po I wojnie światowej, tak jak po części Polska po wojnie drugiej.

Wszędzie eskortowani jesteśmy przez policję na sygnale. To nie tylko dla nas — to także dla nich ważna wizyta. Mijamy główny dworzec kolejowy, wybudowany w 1884 roku. I już jesteśmy w siedzibie największego autorytetu współczesnej Serbii, przywódcy duchowego, prawosławnego metropolity Pawle. Dziewięćdziesięcioletni, zasuszony starzec, niziutki (najwyżej 150 cm wzrostu), w czarnym habicie i białym nakryciu głowy, z wielką, nieproporcjonalną do wzrostu siwą brodą. Łagodny, ale budzący respekt. Nawet szefowa delegacji, Niemka Doris Pack, pozwalająca sobie na cierpkie uwagi wobec prezydenta kraju, nawet ona jest przejęta. Człowiek, który do nas mówi, urodził się w roku rozpoczęcia I wojny światowej. A wie, o czym mówi, bo parędziesiąt lat był głową Kościoła prawosławnego w Kosowie. W sali audiencjonalnej wiszą portrety pięciu jego poprzedników i cztery ikony, ale muszę przyznać, że portrety są lepiej eksponowane. Bardzo sympatyczny, mimo łagodnego uśmiechu i mikrej postury potrafi być jednak twardy i stanowczy. To właśnie ten niepozorny mężczyzna potrafił zorganizować w Belgradzie stutysięczną demonstrację przeciwko rządom „Slobo" Miloševicia.

Patriarcha reprezentuje prawosławną Serbię — tę Serbię, która w Unii dalej będzie prawosławna. I która, zachowując elementy solidarności „słowiańsko-prawosławnej" z Rosją, będzie coraz bliżej Zachodu.